

Już od rana czuję, że jest dość nieszczególnie, zdaje się, że właśnie próbuje mi ruszyć okres. Z jednej strony lepiej późno niż wcale, z drugiej — no cóż, gdy ostatnio dostałam okres po dwumiesięcznej przerwie, przebiegło to dosyć dramatycznie.

Tym razem dramatyzm sytuacji osiąga rzeczywiście niezłe wymiary. Historię udaje mi się przesiedzieć, choć pod koniec jest naprawdę niedobrze. Ból obejmuje mnie od pasa w dół — mocna obręcz bólu, opierająca się z tyłu o krzyż, z przodu spływająca skurczami do podbrzusza. Oddycham półotwartymi ustami, jakoś wydaje mi się, że w ten sposób będzie łatwiej przetrzymać. Prędzej przeminie. Ale to nieprawda. Nigdy jeszcze nie udało mi się tak po prostu przetrzymać. Nigdy nie znalazłam żadnych reguł rządzących tym wszystkim. A raczej są jedyne reguły — te, które dyktuje ból. O niech to cholera, chyba nie wstanę...

— Co ci? — pyta cicho Poleczka.

Za siedem minut dzwonek. Chyba dotrwam...

— Okres — mówię bezgłośnie, na wydechu.

— Boli cię?

Kiwam głową. Ręce mam zaciśnięte z całej siły na krawędzi stołu. Pewnie, że mnie boli.

— Bardzo?

...A jak jej się wydaje? Że sobie robię jaja? Nie mogę złapać oddechu, a właściwie nie mogę zrobić na tyle dużej przerwy między oddechami, żeby zmieściło się w niej jakieś zdanie. W miarę wyartykułowane. O, niech to szlag...

— Jak cholera... — udaje mi się wreszcie powiedzieć, dosłownie na chwilę przed dzwonkiem.

— A jest dziś lekarka? — pyta Poleczka, ładując w pośpiechu swoje rzeczy do plecaka. — Poczekaj, pomogę ci.

Pakuje też moje rzeczy, ja niespecjalnie nadaję się do czegokolwiek. Nie wiem, czy uda mi się w ogóle wstać...

— Chodź — mówi Poleczka, próbując wywlec mnie z ławki. Trochę nam kiepsko idzie. W uszach zaczyna mi dzwonić, a ręce mam lodowate i zupełnie mokre. Poleczka bierze nasze dwa plecaki, ja jestem już w wyjątkowo korzystnej pozycji, stoję mianowicie na nogach. Co prawda od pasa w górę jestem zgięta niemalże pod kątem prostym, a w oddechu zaczynają mi się pojawiać jakieś pogwizdy, ale włączona przez Poleczkę pod ramię wydobywam się z klasy na korytarz.

Gabinet lekarski znajduje się dokładnie po drugiej stronie dużej auli, która w tej chwili osiąga dla mnie niemalże rozmiary pasa startowego na lotnisku. Boże, jak ja przebrnę tę odległość? W porywach dwadzieścia metrów... Albo lepiej... To znaczy gorzej. Cholera, akurat przed matmą. Co matma... ma właściwie do tego? Nie dojdę. Położę się tu. Poleczka mnie ciągnie. Nie mogę się wyprostować. Po każdym kroku. Przystaję. I wreszcie. Zamykam oczy. Wirówka. Nie wiem, co się dzieje. Nie wiem, gdzie jestem.

Ciemność i czerwien. Przed zamkniętymi oczami.

Czerwone koła.

Ciemność.

Leżę na czymś, jest okropnie jasno. Za jasno. Bolą mnie oczy. Boli mnie brzuch. Krzyż. Wszystko mnie boli. Gardło mam zupełnie suche. Boli. I zimno. Ale kurewsko zimno. Jasno i zimno. Gdzie ja? Jestem... Gdzie? Koło mnie szelest.

— Ania. Słyszysz mnie?

Otwieram powolutku oczy. Dwie plamy — jasna i ciemna. Wystrzają im się krawędzie. Biały fartuch, twarz. Aha, już wiem.

— Zaraz podam ci środki przeciwbólowe. To bóle menstruacyjne, tak?

Kiwam głową. Pani doktor szpera w pośpiechu w oszklonej szafce z podręcznymi lekarstwami. Szybko. Proszę... Próbuję podkurczyć nogi i odwrócić się na bok, ale nie mogę. Leżę. Martwym bykiem. Jak chleb za sześć. Pani doktor odwraca się i podaje mi dwie białe pigułki. I kubek. Zęby mi podzwaniają o krawędź. Jeszcze coś mi daje. Termoform. Gorący. Na brzuch. Trzymam go obiema rękami. Chyba trochę kurczowo. Żeby mi nie spadł. Zsunął się... nie zsunął się. Chyba ulga. Jeszcze nie wiem. Och, mijaj, prędzej. Mijaj. Ty bydlaku. Ty zbydlaczony bydlaku. Wygram z tobą.

Króciutkie chwile ulgi i kolejne kleszcze bólu. Ale słabsze. Krótsze. Czekam, kiedy już nie powróci. Czekam na tę chwilę. Na jej piękno. Wymarzone piękno. Gdy wreszcie ból zamiera. Nie usypia. Tylko zamiera. Na to ciepło. Na sen.

Lepiej. Mogę nabrać powietrza. Bez bólu. Mogę zgiąć nogi. I ciepłej. Nie mijaj, chwilo. Mija jednak. Ale powracający ból jest już słabszy. I krótszy. Spodnie mam rozpięte, termoform leży na brzuchu, grzeje przez warstwę cienkiej koszulki. Co za błogosławieństwo. Tylko wspomnienie tego ciemnego wiru w głowie... to wspomnienie mnie przeraża. Co się wtedy właściwie stało?

— Co mi się stało? — pytam szeptem.

— Zemdlałaś na korytarzu. Pan od matematyki cię tu przyniósł. Potwór. Potwór mnie przyniósł. Nie, to niemożliwe.

— Powiedział, że cię odwiezie do domu, a ja mam zamiar go poprosić, żeby przez jakiś czas u ciebie został, bo nie wiadomo, czy te bóle się nie powtórzą.

Robi mi się słabo, a jednocześnie prawie mnie unosi na kozetce.

— Co to znaczy „został”? — pytam w absolutnej panice. — Przez jaki czas?

— O, nie przerażaj się, godzinę, dwie najwyżej.

Termoform spada mi na podłogę.

— Nie, pani doktor, błagam panią, nie! Ja się go strasznie boję! Ja nawet nie będę wiedziała, o czym z nim rozmawiać. Błagam, nie...

— Ależ zrozum, dziecko...

— Błagam panią!

Przez jej twarz przemyka leciutki cień uśmiechu. Ulotny, ale nie wydawało mi się. Układa na mnie znów termoform.

— Aż tak się go boisz? Ale może on nie jest taki straszny?

— JEST straszny.

— Był okropnie zdenerwowany, gdy cię tu przyniósł. Wiesz, myślę, że nie przejmowałby się tak, gdyby był taki straszny, jak mówisz... Przyznaję, jest bardzo stanowczy, pewnie bardzo wymagający, ale spróbuj w nim znaleźć jakieś cechy ludzkie.

Co właściwie mam do gadania? Sprawa została już ustalona, muszę się zgodzić na takie rozwiązanie.

— Spróbuję — jęczę ponuro. — Widzę, że nie ma wyjścia.

W tym momencie wybucha dźwięk dzwonka. W ciszę korytarza pomaleńku wsącza się gwar, gwar narasta w hałas i nagle w samym środku tego hałasu, wyniesione na plan pierwszy, dociera do mnie energiczne pukanie do drzwi. Boże, spraw, żeby to nie był on... To jest on.

— Proszę, może pan wejść — mówi pani doktor.

Ona też wiedziała. Skąd poznała natychmiast, że to właśnie Potwór? Po katorycznym ruchu ręki pukającej do drzwi? Po energii? Po niezawodności?

Potwór staje w progu. Wcale nie jest zdenerwowany, ma twarz niewzruszenie spokojną, kieruje na mnie spojrzenie uważne, ale pozbawione ciekawości. W pierwszym odruchu — nie wiem? strachu,

zażenowania, niepokoju — próbuję unieść się na łokciu, ale po prostu nie daję rady. Jeszcze nie mogę się podnieść. Ból skacze mi twardymi łapami na brzuch, od drugiej strony, od strony głowy, prochy płyną przez ciało wąskim, pulsującym strumyczkiem odrętwienia. Wiem, że gdy dojdą do brzucha, ból ucichnie. Ale jeszcze nie teraz.

Nienawidzę się za to, że Potwór ogląda mnie w takim stanie. Nie dość, że wstyd, to jeszcze zapamięta mnie sobie na całe życie. Jego też nienawidzę. Za to, że się tu wpakował, że już wszystko zarządził — za jego impet, władczość i precyzyjną organizację. Nie chcę z nim przebywać, nie chcę mu nic zawdzięczać, nie lubię go i boję się. Cholernie się go boję. Mam wrażenie, że umiem rozmawiać z ludźmi — z nim nie wyobrażam sobie jakiegokolwiek rozmowy. Jest dla mnie obcym, odpychającym Potworem. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. W połowie gestu podnoszenia opadam znów na kozetkę, wściekła i upokorzona.

— Pomalutku — mówi nagle Potwór.

Zamiera we mnie wszystko. Lęk, obawa, niechęć, wszystko wstrzymuje się nieruchomo. Powiedział to PO LUDZKU. Po prostu po ludzku. Bez zwykłej arogancji, bez rezerwy, chłodu, pogardliwości, powiedział to normalnie, ciepło i uspokajająco.

Podnoszę oczy. W kącikach jego ust pojawia się coś, jak dalekie drgnienie uśmiechu. W dalszym ciągu jest to twarz chłodna, ale przez moment objął ją ten ulotny błysk porozumienia.

— Nigdzie się nie spieszymy — mówi znów Potwór i ta liczba mnoga w jego ustach jest miła, a także zupełnie naturalna. — Ja już jestem teraz wolny i czekam na ciebie w szatni. Jak będziesz mogła przyjść, to przyjdź, odwiozę cię do domu.

Leciutko kiwam głową. Widzę, że za sekundę odwróci się i odejdzie, i nagle coś we mnie, bez żadnego porozumienia z umysłem, decyduje. To coś jest tak silne, że na moment udaje mu się pokonać ból, podciągam się na łokciu i mówię bez namysłu:

— To pan mnie tu przyniósł, prawda?... Dziękuję.

Wyciągam w jego stronę wolną rękę. Akurat jest to prawa ręka. Nie wiem, jak odważyłam się coś podobnego zrobić... Ale największym zaskoczeniem jest widok twarzy Potwora. Wygląda jak ... dzikie zwierzę, do którego ktoś bez wahania podszedł i pogłaskał je za uchem... Nieprawdopodobne zdziwienie, zaskoczenie cudzą śmiałością, a jednocześnie kompletny brak urazy, raczej coś jak daleka, daleka siostra przyjemności. Wszystko to trwa dosłownie chwilę, w następnej chwili Potwór wyciąga ramię i ujmuje na moment moją rękę. W głowie mam panikę i przerażającą chęć odwrotu, ale odwrotu nie ma, już się to stało. Dłoń Potwora jest ciepła, duża i silna — moja jest gorąca i zupełnie mokra — gorąca od ciepła termoforu, mokra z bólu i zdenerwowania. Wycofuję ją z zażenowaniem. To nic przyjemnego, dotknięcie takiej mokrej łapy... dobrze chociaż, że nie jest zimna... zimna żaba.

Potwór wychodzi z gabinetu, zagarnięty białym ramieniem pani doktor. Drzwi są przymknięte, rozmawiają cicho na korytarzu. Opadam na kozetkę zupełnie bez życia. Prochy dopłynęły w górne partie brzucha, odrętwienie miękkim ruchem zagarnia klatkę piersiową, przy wlocie do żołądka czuję delikatne mróweczki, które nie są pieczeniem, tylko igiełkami uspokojenia. Jeszcze troszkę... Zaraz się wszystko skończy.

Pani doktor wraca do gabinetu. Wydaje się trochę rozbawiona, nie wiem, czy to możliwe, żeby bawiła ją rozmowa z Potworem...

— Jak się czujesz, Aniu? — pyta.

— Lepiej, pani doktor — mówię, w dalszym ciągu w pozycji horyzontalnej. — Zaraz przejdzie. Czy naprawdę jest niezbędne, żeby Po..., żeby pan Jeź odwoził mnie do domu?

— Myślę, że to nieuniknione... A co to było to „po”, po którym się zatrzymałaś?

— Potwór — mówię odruchowo i czuję, jak zalewa mnie fala czerwieni.